ROZMAITOŚCI.

Dnia 8. Lipca | Nr 27. | Roku 1843.

JAN JERZY WEIHERT.

POWIASTKA HISTORYCZNA 1656—1658.

(Ciąg dalszy.)

III.

Tydzień upłynął, rotmistrz gościł jeszcze w Działszyńskim zamku. Uprzejmie od kasztelana przyjęty, nęcony wdziękami Jadwigi, wdzięcznością miecznika, ani pomyślał o wyjeździe; a jeżeli pomyślał, to jak o jakim przykrym obowiązku, który im się dłużéj odkłada, tém mniéj boleśnym dla serca. Pięknego wiosennego poranku, właśnie o wschodzącém słońcu, gdy dopiéro co z miękkiéj powstał pościeli, niezwykły gwar i hałas, a nawet brzęk szablic i chrzęst zbroi doszedł jego ucha. Nie wiele na to dawał baczenia, aż wszedł znajomy czytelnikom sierzant... Przestrach objawiał się w oku poczciwego żołniérza, głos drżał gdy mówił:

»Dla Boga! panie rotmistrzu, Szwedzi nadciągnęli.«

Lekki dreszcz obiegł żyły młodzieńca, uspokoił się wkrótce przecież, i odparł:

»I cóż to ma cię przestraszać?«

»Na ich czele jest sam jenerał Möller... widziałem go przed chwilą, śmierć w jego oku...«

»Wszakże wiesz, że od czasu oblężenia Częstochowy, nie zostaję pod jego dowództwem, gniewu zatém niémam przyczyny obawiania się.«

»Lecz ocalenie Polaków?... śmierć Grotenhauzena?... pan wiesz, iż on był pokrewnym i piérwszym ulubieńcem jenerała«, mówił żołniérz posępnie.

»Bez sądu przecież nie będę skazany. Jako dowódzca osobnéj i najemnéj roty, tylko od króla Karola zależę.«

Sierzant głową skinął nieufnie i mruczał: »Naszych jest ledwo trzydziestu, ich tysiąc obsadziło zamek. Trzy razy tyle jak się dowiedziałem, stanęło w mieście i przyległych wioskach. Cóż prawo przeciw sile pomoże?.. lecz czas jeszcze, możesz pan się ratować... granica niedaleko...«

Młodziana oko gniewem rozpełło.—»Tyż to mnie radzisz ucieczkę?« wyrzekł do sierzanta. »Widziałeś mnie przecież nieraz w boju upale, a czy chroniłem się przed śmiercią, choć się być pewną zdawała?... teraz mamże uciekać przed grożącą z daleka? nie! nigdy!..«

Żołnierz milczał, lecz w oku jego łza połysnęła. Kochał on dowódzcę jak ojca, wielbił jego męztwo, lecz drżał słusznie o życie. Przeczucie poczciwego spełniło się wkrótce; bo niespełna godziny, drzwi się otworzyły z łoskotem, weszło kilku żołniérzy z dobytémi szablami, a na ich czele adjutant jenerała — Szwed pochmurny i dumny.

»Z rozkazu dowódcy, wzywam pana«, rzekł do młodzieńca, »byś natychmiast udał się za mną.«

Trudno było opiérać się przemocy, okrążony przez żołniérzy, przeszedłszy kilka komnat, stanął nareszcie rotmistrz w głównéj sali zamkowéj — kwaterze nateraz Möllera. Znany ten w naszéj historyi jenerał, już to daremném oblężeniem Częstochowy, już okrucieństwami swojémi, rozparty w krześle, groźną właśnie dokończał przemowę do kasztelana i miecznika obok stojących.

Mówił do ostatniego:

»Na ten raz przebaczam aszmości! przebaczam, mając wzgląd na wierność kasztelana dla monarchy mojego, i na jednomyślne wstawienie się uległéj aryjańskiéj szlachty.

Konfiskata majątku jedyną tylko karą niech będzie; ale biada aszmości! biada całemu twemu domowi, jeżeli najdrobniejszy dwuznaczny postępek, najlżejszy wyraz, poda w wątpliwość dobre twoje chęci!... Wtedy... znasz prawa wojenne, znasz mnie, śmierć ci niezawodna!..«

Miecznik dojrzał rotmistrza otoczonego żołnierstwem, pojął uwięzienia powód. Szlachetne serce rozbolało na myśl, że wybawiciel jego w niebezpieczeństwie. Coś z cicha bratu poszepnął do ucha, lecz gdy ten trwożliwie głową skinął, może na znak niepochwalania zamiaru, zbliżył się sam do Möllera i mówił:

»Jenerale! dziękując ci za własne uwolnienie, przebacz, że proźbą śmiém ci się narzucać. Spostrzegam pod strażą — rotmistrza von Wejhert: sądzę, iż udział jaki miał w nieszczęsnéj méj sprawie przyczyną uwięzienia jego. Byłeś dla mnie łaskawym, nie cofaj i jemu swych względów; jeżeli pobłądził, to tylko z zamiłowania ludzkości, z chęci przyniesienia pomocy nieszczęśliwym.«

Blade brwi Möllera ściągnęły się gwałtownie, mdłéj barwy oko prysło pożarem gniewu, odparł ponuro:

»Do wojennego sądu należy rozstrzygnięcie sprawy rotmistrza... ja, ni hamować jego wyroku, ni łagodzić nie chcę. Przecież mospanie mieczniku! jeźli mu on śmierć przyniesie, twoje sumienie obciążać ona powinna.«

Kasztelan wtedy rzucił także kilka słów prośby. Szwed odparł, gwałtownie uderzając po rękojeści swéj szabli:

»Nie! na biesa nie! przysięgam ci kasztelanie! — wstawienie się twoje daremne. Uwolniłem miecznika, bo miał choć pozór słuszności za sobą. Przekonał, iż listy, któremi obwiniony został, były fałszywe; lecz rotmistrz zawinił tyle, że litość sprawiedliwości ustąpić powinna... Czy nie znasz jego zbrodni?.. napaść towarzyszy broni, śmierć mojego krewnego, alboż nie wołają o pomstę?.. zginę, lub ona spadnie na jego głowę... śmierć mu, śmierć! to powinność moja, to chęć jedyna...« — Obaj bracia jednak nie ustępowali w swych prośbach. Zniecierpliwiony Szwed groźnie wykrzyknął:

»Dosyć tego panowie! wasza sprawa skończona... ustąpcie więc, nie mieszajcie się do rzeczy, co źle wyłożona, zgubę wam obu przynieśćby mogła.«

Miecznik z łzą w oku, kasztelan z nietajoném oburzeniem, opuścili komnatę... Co pierwszy czuł oddawna, drugi pojął teraz, co jest zdrada, jakie jéj korzyści, co było panowanie Szwedów?...

Chociaż w ręku człowieka, którego znał dobrze okrucieństwo i bezprawia, rotmistrz nie stracił odwagi. Ufał on w słuszność swéj sprawy, ufał w zasługi jakie stronie szwedzkiéj, lubo od dawna już nie miléj sobie, poniósł. Król Karol X. znał go osobiście i względami swémi zaszczycał. Potomek znakomitéj niemieckiéj familii, służył on w wojsku jego nie z obowiązku, lecz jako dowódca roty, którą kosztem swym zebrał i wynajął w czasie wojny w Polszcze wybuchłéj. A więc lubo przeczuwał wyrok sądu wojennego, złożonego całkiem z zauszników Möllera, miał prawo odwołania się do ostatecznego wyroku monarchy; i nie wątpił, aby uwolnionym całkowicie nie był.

Wyznaczeni sędziowie zasiedli swe miejsca. Möller sam był oskarzycielem: wyrok zatém, jak słusznie przewidział młodzieniec, zwiastował mu — śmierć! »Stósownie do praw moich«, odrzekł wtedy spokojnie, »żądam, aby cała sprawa, przełożoną była królowi Jegomości.«

Sędziowie zakłopotali się nieco, ale jenerał gwałtownie uniósłszy się z krzesła, wykrzyknął:

»Nie! na piekło nie! — odpowiedzialność biorę na siebie: wyrok nieodwołanie wykonanym być musi.«

Młodzieniec wzdrygnął się nieco na te wyrazy, i oburzeniem odpowiedział: »Ależ to morderstwo bezprzykładne i oczywiste! morderstwo wołające o pomstę!.. zbrodnia, godna jenerale ciebie, godna człowieka, którego okrucieństwo jak nieprzyjaciele tak i właśni podkomendni znają od dawna, i przeklinać muszą.«

Szweda oblicze pobladło od gniewu. Wydobył z pochwy szablę, wkrótce przecież ukoił się i wyrzekł głosem pysznym i ponurym:

»Kilka kropli krwi do téj, com już wylał, nie zastraszy mnie wcale; a jeżli gniew króla dosięgnie, nie wyrówna on słodyczy zemsty, jaką ci poprzysiągłem, którą niezadługo mieć będę; przygotuj się więc, bo jutro o wschodzącém słońcu, zginiesz.«

IV.

Odprowadzono młodzieńca do więzienia—lochu w podziemiach zamkowych, okuto kajdanami jego ręce i nogi, silną straż postawiono przed drzwiami od zewnętrznéj strony.

Jak niewinnie osądzonemu i potępionemu bezprawnie spływały godziny, które przecież ostatniémi życia być miały, pióro nie zdolne wyrazić. Są cierpienia, na których odkréślenie brakuje słów; i zapewne to sprawiedliwe zrządzenie Boga, bo czyż dla wielu istot, znać cudze troski, nie jest cierpić samym?

Przed sądem wojennym, w obec zaciętego wroga, młodzian stał spokojny i dumny, urągał śmierci; ale teraz zostawiony samotnie, wręcz z nią niejako, zadrżał mimowoli.

Umrzéć w trzydziestym roku życia, gdy się je zaledwie pojęło, zrozumiało, zgodziło z chęciami; gdy wszystkie rozkosze, miłość, sława, nadzieja uśmiéchały się w niém, to straszliwio!... okropnie!...«

Mało jest osób, a i te mało chwil takich dolicza, kiedy wybiérajac między bytem a zgonem, zgon-by wybrały. Mądre przeznaczenie wlało w nasze serca rozum i chęci, tyle zamiłowania w kłopotliwém istnieniu, tyle nadziei, że rozbrat z niém dobrowolnie uczynić, chyba rozpacznego szału może być natchnieniem.

Żołniérze przed drzwiami więzienia pięciokrotnie odmienili wartę, to było wskazówką czasu dla rotmistrza.

»Już więc północ!...« wykrzyknął, »sześć tylko godzin pozostaje dla mnie istnienia... Ojcze! Matko, luba siostro! już więc nie ujrzę was więcéj! nie przycisnę do łona!... Rodzinna ziemio! już dla mnie zgubionaś na wieki!... Ach! gdyby jeszcze grot wroga przeciął był życie w boju zapale, śmierć wtedy mniéjby straszną dla mnie była; lecz zginąć zgonem występnych, zginąć niewinnie, to okropnie!... Lecz czemu te ponure myśli?... ginę daleko od przyjaciół, od rodziny... Lecz czyliż zgon mój nie będzie zgonem sprawiedliwego?... Czyliż i tu nie znajdzie się jaka istota, co łzę na mogiłę nieszczęśliwego poniesie, w pamięci go zachowa?... Jadwiga! ona tak dobra i piękna... anioł... nie będziesz tą istotą?...«—

Myślał i marzył długo jeszcze, aż Bóg ulitował się nad ciérpiącym, lekkim snem zamknął jego powieki. Nie długo trwał on przecież: nagle uczuł młodzieniec miękkiéj dłoni dotknięcie,.. ocknął się, przetarł źrenice. Jemu się zdało, że sennéj wyobraźni mara go ściga... przed nim stała piękna córka miecznika, poczciwy sierzant ostrym pilnikiem kruszył jego okowy.

»Dla Boga! cicho!...« poszepnęła dziewica, widząc, że młodzian chciał coś przemówić. »Idzie tu o twe życie, o życie nas wszystkich.«

W téj chwili więzy rozdarte żelazem oswobodziły nogi jeńca. Jadwiga ujęła dłoń jego i rzekła:

»Śpiesz się pan!... jesteś wolny!... pospieszaj za nami.«

Rotmistrz machinalnie prawie za nią postąpił, i z zadziwieniem ujrzał w murze więzienia nieznaczny otwór, żelaznémi opatrzony drzwiami. Wychodził on na kurytarz długi, wilgotny i nizki. Weszli. Dziewica postępowała naprzód, niby drogę wskazując. W jéj ręku połyskiwał mdłym blaskiem kaganiec, włos był w nieładzie, oko pełło febrycznie. Kilka minut w głębokiém postępowali milczeniu... Kurytarz to raz zwężał się, że ledwo jednéj osobie dosyć miejsca do przechodu zostawiał, to znów rozszérzał się nagle, lub wbiegał w obszérne podziemia zamkowe, pełne wojennego rynsztunku, lub składu prochu. Powietrze było wilgotne i duszne: po kwadransie dopiéro przeczyściło się nieco. Niezadługo nawet świéży powiew wiatru twarz młodzieńca owiał, a ucha doszedł szum i plusk, niby wartkim pędem w niedalu toczącéj swe nurty—rzéki. Jakoż tak było w istocie. Kurytarz doszedł wązkiéj rozpadliny skały; a gdy za dziewicą wyszedł przed nią rotmistrz, ujrzał się w gęstwi lasu, tuż po nad brzegiem Warty. Przestrzeń ćwierci mili oddalała go od niedawno opuszczonego zamczyska. Piękna córka Miecznika rzekła wtedy:

»Teraz pan jesteś całkowicie bezpieczny. Konie stoją ztąd niedaleko, sierzant zna miejsce: za dwie godziny możesz przebyć szlązką granicę, tam cię zemsta wroga nie dojdzie.«

Radość młodziana ten tylko pojąć zdoła, kto jak on, o jeden tylko krok od śmierci, uniknąć jéj zdołał; lecz powab téj chwili, zatruł wkrótce bolesny wspominek. »Pani!.. ocalając mnie, czyliż nie narażasz się sama?..« zapytał.

»Alboż gromiąc szwedzkich zuchwalców, kilka dni temu, myślałeś o własném bezpieczeństwie? Obowiązek wdzięczności, nie masz być równie silny, równie święty dla mnie, jak był dla ciebie szlachetny niedawny postępek?... Zostaw nas świętemu boskiemu zrządzeniu, sam ratuj się, pokąd czas sposobny.«

*

»Lecz czemu nie unikacie okrutnego wroga sami?... cóż was tu wiązać może? I wy na cudzéj ziemi nierównie bezpieczniejsi będziecie.«

»Mój ojciec nie mógł znieść cierpień dnia wczorajszego, w ciężką zapadł chorobę... inaczéj zapewne bylibyśmy towarzyszyli tobie. Ach! los nasz okropny...« odparła posępnie dziewica, i usiadłszy na złamku poblizkiéj skały, rzewnie płakać zaczęła.

»A więc to być nie może!... znam Möllera«, głucho rzekł rotmistrz, »okrutny! zemście koniecznie musi mieć ofiarę... Szlachetny twój czyn wyda się zbrodnią dla niego... Ratując mnie, gubisz się sama, gubisz ojca!... Nie! za tę cenę nie przyjmuję życia... pozwól wrócić się!...«

Jakoż istotnie postąpił ku rozpadli skały: wstrzymała go dziewica. »Dla Boga! co chcesz uczynić?...« krzyknęła. »Czuję dobrze, czuł i mój ojciec na co się narażamy, ocalając ciebie; lecz gdy twój zgon był nieomylny, nam jeszcze się uśmiécha nadzieja... Król Jan Kazimiérz z Lubomirskim i walecznym Czarnieckim, jak pewne doszły nas wieści, przed kilku dniami przybył do Częstochowy... wraz z tobą jeden z naszych dworzan pojedzie... błagamy o pomoc monarchę, wyrzekamy się strony szwedzkiéj... może ulitować się raczy, przyjmie pod swą opiekę nieszczęśliwych... Czemuż nie mamy mieć ufności?... Bliższych zguby Bóg nas za twoją pomocą ocalił, i teraz nie poskąpi jéj pewnie.

Młodzian wahał się, Jadwiga dodała:

»Największą mamy nadzieję w Czarnieckim: dawnym on towarzyszem broni ojca mojego. Szlachetny, pewnie przyjdzie z pomocą... Ach! gdyby ona tylko mogła już jutro nastąpić... ocalenie nasze nieomylne. Möller jakkolwiek srogi w swéj zemście, musi mieć wzgląd na prawa... bez sądu nie potępi nas przecie; a to jakiś czas, dzień przynajmniéj zabierze.«

Oko młodzieńca zabłysło rozkoszy nadzieją... silne jakoweś postanowienie wybijało w niém jasno. Ujął dłoń dziewicy, przycisnął do ust. »Pani!« wyrzekł, »teraz wahać się ni chcę, ni powinienem. Los mój rzucony... Bóg powiedzie krokami, i ufam, pozwoli ujrzéć cię wkrótce w szczęśliwéj chwili...« Dorzekłszy słów tych, przywołał sierżanta, pobiegł ku miejscu, na którém konie czekały, i niezadługo zginął z przed oczu dziewicy. Stała ona jeszcze chwil kilka na miejscu, serce jéj kołatało gwałtownie, zdało się jéj bowiem, że odgadła znaczenie wyrazów rotmistrza. Cichą modlitwę przesłała niebiosom, i zagrążyła się w podziemnym przechodzie.

V.

Trzéj podróżni, bo towarzyszył rotmistrzowi dworski kasztelana wiozący listy braci Warszyckich do polskiego obozu, przeszło godzinę biegli to lasem, to manowcami łąk i niw Działoszyńskiego starostwa. Konie ich dychały szybko utrudzone jazdą, aż wreszcie stanęły na krzyżujących się drogach granicznych. Rzekł wtedy polski dworzanin:

»Panowie! udajcie się na prawo, trzymając się ciągle szlaku lasu i nie szczędząc ostróg. Za godzinę już w Slązku będziecie.«

»Nie!« żwawo odparł rotmistrz, »pojedziemy z tobą do Częstochowy.«

Szlachcic zdziwionémi oczyma zmierzył młodziana, odgadnął zamiar dowódcy poczciwy sierzant, i wyrzekł spokojnym ale mocnym, zwykłym sobie głosem:

»Dalipan rotmistrzu! dobrze zrobimy. Już mi się téż przejadł chléb szwedzki... to antychryści gorsi jeszcze od pogan: a z resztą sama wdzięczność to nakazuje... Panna Jadwiga—anioł istotny... nie przynieść jéj pomocy, gdy w ręce Möllera dla nas popadła, byłoby hańbą...«

Konie ostrogami parte, znowu rączo pobiegły. Po dwu-godzinnéj jeździe stanęli podróżni na obszérnym ługu. O ćwierć mili tylko Jasnogórski klasztor stérczał przed niémi... do koła niego bielały namioty polskiego obozu. Kopijnik lekką zbroją i burką odziany zaszedł im wtedy drogę z odwiedzionym pistoletem i »kto jesteście?« zapytał.

Dworski kasztelana odparł pospiesznie:

»Jestem herbowym szlachcicem a koniuszym Jegomości Sieradzkiego kasztelana, wiozę zaś listy do najjaśniejszego króla i panów rady. Dwaj moi towarzysze dotąd w szwedzkiéj armii służyli, lecz teraz na żołd Rzeczypospolitéj przejść pragną.«

»Lecz czy to nie szpiegi?...« z podejrzeniem poszepnął kopijnik, mierząc buremi mazurskiemi oczyma obudwu orężnych. Rotmistrz, który się przez ciąg dwu-letniego pobytu w Polszcze, dobrze twardego sarmackiego języka wyuczył, wzdrygnął się na te wyrazy, i machinalnie dłoń jego po rękojeści szabli brzęknęła. To oburzenie, baczności kopijnika nie uszło... wyrzekł, uśmiéchając się lekko:

»Jakem wojak, to gracki Jegomość! Takich nam potrzeba, niezawodnie uda się panu kasztelanowi.*) W jakimże aść regimencie służyłeś?«

»Byłem Rotmistrzem własnym kosztem utrzymywanéj kompanii.«

Tytuł rotmistrza znacznie powściągnął kopijnika rubaszność. Oddał młodzieńcowi zwykły pokłon wojskowy, a na uwagę dworzana, — że jego interes zwłoki nie cierpi, i że bezzwłocznie chce list panu Czarnieckiemu doręczyć, odparł:

*) Czarniecki był w ówczas kasztelanem kijowskim.

»On z tąd niedaleko być musi. Widziałem przed chwilą, jak stanowiska objéżdżał... pospieszcie za mną mości panowie!«

Może o jedno staje drogi daléj, między opuszczonémi bateryjami szwedzkiémi, spotkali podróżni mały orszak rycerski z szlachty i pancerników złożony. Na jego czele, na dereszowatym rumaku harcował pięćdziesiąt-letni wojownik. Twarz jego słońcem ogorzałą, długie wąsy zdobiły, oko błyszczało żarem młodzieńczéj jeszcze duszy, na podgoloném czole głęboka szrama ku lewemu zabiegała uchu, z prawéj zaś strony policzka skóra żółta, zfałdowana, rozryta świadczyła — że kiedyś kulą naruszoną być musiała. Głowę rycerza zdobiła karmazynowa, o wązkim czarnym baranku, na bakier założona czapka. Stalowy pancerz dzielną pierś pokrywał, na nim niedbale zarzucona burka szamotała się po tureckiém siodle, za każdym silniejszym wichru powiewem.

»To pan kasztelan, regimentarz koronny Czarniecki«, dworzanin rotmistrzowi poszepnął i skoczywszy z konia, z nizkim ukłonem, zbliżył się do bohatéra.

»Cóż aść mi powiész?« zagadnął go ten głosem żwawym i silnym.

Dworzanin list wręczył. Szybko przejrzał Czarniecki, i »*per Deum immortalem!*« krzyknął. »To źle!... znam Möllera, żartować nie lubi.«

Młodzian zadrżał, przeczuł treść pisma.

»A aść kto jesteś?« spytał go kasztelan.

»Do dnia wczorajszego byłem rotmistrzem w służbie Jegomości króla szwedzkiego; od dziś zaś, gdy się Waszéj Miłości podoba, życzę sobie służyć królowi Rzeczypospolitéj polskiéj.«

»To dobrze! bardzo dobrze!... potrzebujemy rąk wprawnych i silnéj stali. Lecz jakież aszmości nazwisko?«

»Von Wejhert!«

»Jakto?... Rotmistrz niemieckich rejtarów? ten co ubiegł Międzyrzec, odznaczył się pod Krakowem, i przy oblężeniu téj oto fortecy, nie mało naszym dokuczył?...«

»Byłem w okazyjach, które Wasza Miłość spomina; lecz nie wiem, czy błahe moje czyny na jego względ zasługiwać mogą?...«

»A to byłoby źle mospanie!... Czy sądzisz, że dzielny żołniérz choćby nawet był wrogiem, ujdzie mojéj uwagi? Znam cię z wieści rotmistrzu i witam z radością; lubo przebacz, nie pojmuję, co cię skłonić mogło do przejścia na naszą stronę?...«

»Jenerał Möller wczoraj na śmierć mnie skazał: szczególném tylko zdarzeniem uchronić jéj się zdołałem.«

»Bóg i Najświętsza Panna do zguby ich pędzi, korzystać nam z tego wypada. Pozbawili się dzielnego serca i nieomylnéj dłoni; ale czy to nie aszeć miecznika Warszyckiego i jego córkę od sromoty i śmierci ocaliłeś, jak u nas o tém wieści chodziły?«

»Tak jest panie kasztelanie! i to była jedyna ma wina w oczach jenerała.«

»Hańba mu! wieczna hańba!« — wykrzyknął wtedy gwałtownie po szabli ciężką ręką dzwoniąc Czarniecki. — »Ha! mospanie Möllerze! dobrze umiesz chronić się, ale przecież doścignę cię kiedyś: wtedy rozrachujemy się, i Bóg świadek, z lichwą odpłacę krew, którą przelałeś i jeszcze pragniesz przeléwać. Panie rotmistrzu! dosiądź konia... zostajesz przy mnie. Waćpanowie!...« tu się zwrócił do orszaku — »rozjechać się po stanowiskach, porządku doglądać; ja do klasztoru jadę. Możesz mi towarzyszyć rotmistrzu! będziesz nawet potrzebnym... Oby cię Bóg natchnął wymową, oby świadectwo twoje o troskach Warszyckich znalazło litość w sercu króla a raczéj królowéj.«

Kasztelan pogłasnął gęstą grzywę rumaka, wspiął nieco ostrogą wychudłe jego boki, a rzeźki bachmat żwawo poskoczył. Niezadługo przecież ustanął: Czarniecki bowiem w miarę przejazdu obozu, znalazł wszędzie coś do poprawy, nagany lub pochwały. Z ciekawą uwagą przebywszy most zwodzony, oglądał młodzieniec tę fórteczkę, która z szczupłą, bo trzystu ludzi nie dochodzącą załogą, kiedy kraj cały uległ przemocy Karola, zwycięzko dwu-miesięczne oblężenie siedmnasto-tysięcznéj potęgi Szwedów wytrzymała. Spostrzegł to mężny Czarniecki; bo w trop myśli młodzieńca wyrzekł:

»Dziwisz się zapewne, jak garstka żołniérzy, niewojenni księża i kilku rączkowéj szlachty, śród tych słabych murów, całéj waszéj potędze opór stawić mogli.«

»Prawda panie kasztelanie! zwłaszcza, iż zwalenie wieży, która nad całym klasztorem góruje, mogłoby go zasypać gruzami, i wszelki opór niepodobnym uczynić.«

»Zupełnie myślę tak samo: albo więc Möller głowę utracił, albo ocalenie fortecy między istotne cuda policzyć wypada.«

»Möller słynie w całéj armii jako wyborny jenerał, kilkanaście fortec niemieckich daleko obronniejszych od téj, zdobył bez trudu.«

»Więc to był cud... i czemuż w niego nie wierzyć?... Któżby naprzykład przed dziesięcioma laty za panowania nieboszczyka Władysława, kiedy nasz oręż daleko przestrach roznosił, kiedy przerażał Turki, Tatary, i Szwedów znaglał śród pokoju do oddania pięknych miast pruskich — któżby mówię, mógł był przewidzieć, że ciż

sami Szwedzi Polskę całą zagarną?... że Kozactwo Ruś zniszczy i po Wisłę dzicze swoje rozrzuci?... Lecz na co tak daleko zachodzić?... Spojrz na mnie, jestem zagonowym szlachcicem, średni z jedénastu dzieci; lat trzydzieści liczyłem, gdy dopiéro porucznikiem mianowany zostałem, dziś jestem kasztelanem, dziś gdybym zapragnął i na wojewody krześle łacno mógłbym osiąść. Z porucznika—regimentarz, z szlachcica częściowego — kasztelan: albożto nie cud w tym kraju, gdzie urodzenie więcéj niż zasługa do godności wiedzie?... Wreszcie w własne życie spojrz chwilę młodzieńcze! Przed tygodniem jeszcze alboż mógłeś pomyślić, że z stronnika szwedzkiego będziesz polskim żołniérzem?.. że do téj fortecy jako przyjaciel i obrońca wejdziesz, któréj jako wróg — niedawno zniszczeniem groziłeś?«

Domawiając tych wyrazów, wjechał rycérz na główny dziedziniec klasztorny; oddał konia luzakowi i wraz z rotmistrzem pospieszył na wschody do komnat Jana Kazimiérza wiodące.

»Król Jegomość wstał już?« zagadnął jednego z szambelanów królowéj — chudego, nizkiego, obficie kwiatkami, wstążeczkami i galonami obrznconego Francuza, który właśnie po wschodach zstępował.

»Ah! *monsieur le Castelan, bon jour, c'est* dobrze. *Leurs Majestés prennent leur café,* król i królowa *ensemble,* oni są *invisibles, mais* dla pana kasztelana inna rzecz. *Monsieur le prince Lubomirski, monseigneur Opaliński, et ce valereux, comment se nomme-t-il,* co broniła klasztora kiedy fojna bila... a ha! Kardecka jest *la haut.*« Odszedł kłaniając się nizko.

»Niech bies weźmie tych przeklętych Francuzów!... zrozumiałżeś, co on szczebiotał?... to ni do szabli, ni do rady, ni do tańca, ni do rożańca.«

Młodzian wyjaśnił kasztelanowi co mu Francuz chciał powiedzieć.

»Dobrze, bardzo dobrze! więc rozumiész ich barani język? to nam się przyda za chwilę... Mówiłem ci, że ja szlachcic zagonowy z dziada i pradziada, ani z soli ani z roli, ale z tego co mnie boli, wyrosłem. Umiém po łacinie: *Pater noster, Ave Maria* wybornie, w *Credo* już jąkam się nieco; po polsku to ale... Rąbię nie źle krzyżową sztuką, musiałeś o tém słyszéć?..«

Młodzian odparł pochlebstwo; lecz prawda nakazywała, i dodał:

»Czyny pana kasztelana znane Europie całéj. Król szwedzki nawet, z jego ust słyszałem, uwielbia je i podziwia.«

»Ach! prawda... mówił mi to w oczy po wzięciu Krakowa, a przecież zawinął się gracko, aby w jassyr zagarnąć; lecz ja nie w ciemię bity... starego lisa nie łacno ująć w połapkę.«

Zbliżając się do drzwi przez hajduków i oddział gwardyi strzeżonych, dodał zatrzymując się nieco: »Słuchaj! powiem ci otwarcie, czego chcę od króla i królowéj. Kasztelan i miecznik Warszyccy piszą, iż są w niebezpieczeństwie, że się poddają królowi i do Tyszowieckiéj konfederacyi przystępują; ale oni Aryanie, nadto krewni zdrajcy Radziejowskiego. Jedni z piérwszych do związku Wielko-Polskiego przystąpili. Takich ludzi król a szczególniéj królowa nienawidzą: wątpię więc, czy w pomoc pójść im dozwolą... Lecz tak niech się stanie: kiedy ja króla nakłaniać będę po polsku, ty przemów po francuzku do królowéj. Powiédz jéj, że wyprawa na Działoszyn jest jednym z warunków twojego poddania; dołóż jaki wyraz pochlebny, naprzykład, że ona dobra, mądra, a co nadewszystko piękna... Będzie to kłamstwo, ale cóż robić, kiedy dobre skutki przyniesie.«

»Ocalenie miecznika świętą jest dla mnie powinnością.« — Tu opowiedział w krótkości szlachetny czyn dziewicy.

»A więc w imię boże śpieszmy!...

Straż broń sprezentowała, hajducy drzwi na roszerz otwarli, wszyscy znali Czarnieckiego i wiedzieli, że od dzielnéj jego szabli los tych, którym służą, a więc i ich własny zależy.

W sali, do któréj z młodzieńcem wszedł kasztelan, przechadzało się kilku dygnitarzy kraju, biskup Trzebicki, opat Jan Opaliński, Bogusław Leszczyński, podskarbi wielki koronny, brat jego Jan, wojewoda poznański, Stanisław Lubieński, sufragan, Krzysztof Tyszkiewicz, wojewoda czernihowski, Jędrzéj Potocki, oboźny koronny, Jan Wielopolski, kasztelan wojnicki, i wielu innych, wszyscy członkowie Konfederacyi tyszowieckiéj i jéj gorliwi obrońcy. Okrążyli natychmiast walecznego Stefana, po bratersku witali—o nowiny badając; a gdy dowiedzieli się o niebezpieczeństwie Warszyckich, zdało się, że jako spółrodacy, a kilku z nich jako pokrewni, ubolewali nad tém i chętnie widzieliby oswobodzonych z rąk okrutnego Möllera. To dodało nieco otuchy i nadziei młodzieńcowi, jakkolwiek mu czas bez widocznéj korzyści spędzony, długim się wydawał.

W téj chwili z królewskiéj komnaty, wyszedł wielki podkomorzy koronny Stanisław Jabłonowski. Ujrzawszy kasztelana, serdecznie uścisnął dłoń jego, i mówił:

»Witajże nam z dzisiejszym porankiem waleczny przyjacielu! Król jegomość oczekuje cię z niecierpliwością, hetmani już się na radę zebrali.«

»Trzeba więc z burką rozbrat uczynić?... Bah! panie podkomorzy! wcale do etykiet stworzony nie jestem. Zbroja zardzewiona... nie wiém jak się to dzieje, przecież nieraz szwedzka szablica ją wytrze. Aksamit téż spłowiał; to naturalnie... przed słońcem i burzą nie chronię go nigdy; lecz królestwo przebaczą. Pójdź za mną!« mówił daléj, obracając się ku rotmistrzowi.

»Któż jest ten pan?« zagadnął podkomorzy. »Królestwo Ichmość może dziwić się będą.«

»Tak!... prawda—zdziwią się, ale nic rozgniewają, za to ci ręczę. Ten pan jest Niemiec szlacheckiego rodu, wczoraj był szwedzkim rotmistrzem, a dziś pragnie być polskim żołniérzem.«

Weszli do komnaty królewskiéj.

(Dokończenie nastąpi.)

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 27. i obejmuje: 1) O zastosowaniu i użytku celniejszych roślin łąkowych i pastewnych. (Dokończenie). 2) O sprawianiu gruntów koszarami owczemi. 3) Uwagi nad paszeniem bydła zieloną koniczyną. 4) Jeszcze słówko o rafinowaniu oleju. 5) O chodowaniu karpiów, przeznaczonych na rozpłodek. 6) Wiadomości czasowe: *a*) Jak lemiesze nastalać. *b*) Sposób, aby woda przez skóre i szwy do obuwia nie przesiąkała. c) Lékarstwo słuch poprawiajace. *d*) Aby kury w lecie i w zimie zarówno jaja niosły.

Z Warszawy. *Przegląd naukowy* zawiera w Nr. 15, 16 i 17: 1) Gawęda o literaturze i niektórych innych rzeczach, przez Dziekońskiego. 2) Rys rozwinięcia się pojęć filozoficznych w Niemczech. (Dokonczenie). 3) Zacharyjasz Werner. 4) *Les Burgraves Trilogie par Victor Hugo* (przegląd). 5) Namiętność uważana pod względem umniczym. 6) Klemens Brentano. Wszystkie te artykuły są pióra Edwarda Dembowskiego. 7) Kobieta i mężczyzna—wiérsze. 8) Rzut oka na niektóre zeszło-roczne czasopisma warszawskie. 9) Fantazyja, przez Gabryjelę. 10) Wykład nowéj nauki Wiko (*la scienza nuova*), podług Micheleta i Główne postępy mowo-znawstwa, przez Feliksa Jezierskiego. 11) Dwa ustępy z życia nieznanego wieszcza, przez Paulinę z L. W. 12) Kronika piśmiennicza polska. 13) Świat i poeta, poezyja, przez Morzkowskiego. 14) Biblijoteka. Dyjalog. I. Scena na wsi. II. Scena w domu szambelana, przez Lodwalskiego. 15) Listy z Krakowa, napisał Józef Kremer, O. P. Dr., przez Edwarda Dembowskiego (przegląd). 16) Wiadomości o życiu Solskiego. 17) Korespondencyja.—— Tamże wyszła w tych dniach z druku powieść w trzech tomach pod tytułem: *Rzeczywistość*, napisana oryginalnie przez Karolinę z Niemierzyniec. —— Tamże wyszło dziełko pod tytułem: *Wyrachowanie miąższości drzewa w klocach okrągłych i sążniach szczapowych z sposobem poznawania masztów i tabelami bez ułamków, do użytku w gospodarstwie leśnem i handlu drzewa.* —— Tamże Roman Zmorski, przełożył jedno-aktowy dramat: *Dwudziesty czwarty luty*, znanego mistyka-poety niemieckiego Wernera.

Książęce honoraryjum za dzieła dramatyczne. Anteprener londyńskiego teatru Haymarket, pan Webster, wyznaczył 5,000 zł r. mon. kon. za najlepszą pięcio-aktową komedyję, którąby zwyczaje i obyczaje angielskie wyświecała. Nadto ma autor pobierać dochód *brutto* z 20go, 40go i 60go przedstawienia. Komitet złożony z krytyków i dramatycznych autorów ma wyrokować o wartości sztuki.

Uwaga dla właścicieli owiec. Wiadomo, że Anglija była głównem targowiskiem dla handlu wełną. Ale odkąd Australija zaopatruje Angliję w wełnę, artykuł ten nié ma tak wielkiego popytu w tym kraju, szczególniej wełna średniego gatunku, gdyż ta właśnie należy wyłącznie do artykułów wywozowych z Australii. Aby więc znowu otworzyć sobie targowiska angielskie, trzeba się rzucić na uzyskanie bardzo cieńkiéj wełny, a chociaż w piérwszéj chwili natrafi się na niejakie trudności, później jednakże można się spodziewać niezawodnego odbytu.

Instytut ciemnych w Paryżu, odbył niedawno publiczne posiedzenie. Byłato wzruszająca scena. Po kilku mowach wystąpili ciemni, dawniej w tymże samym zakładzie chowani, i odegrali koncert na korzyść swoich nieszczęśliwych towarzyszy, będących w tym instytucie. Cała orkiestra składała się z samych ciemnych, którym także ciemny przewodził. Odegrano uwerturę i symfoniję Hajdena. Zdziwienie było powszechne. Nie można było dać wiary, aby ta zgodność i dokładność w wykonaniu mogła być dziełem pozbawionych wzroku. Nawet fortepijan, na którym towarzyszono grającym *solo*, był przez ciemnego mechanika zrobiony, który w samym mechanizmie poczynił rozmaite ulepszenia swego wynalazku.

W *Echo du Monde Savant* jest umieszczony artykuł ciekawy pana Lesson, o jego pobycie na wyspach Marquezas roku 1840. W tym artykule pisze on o taktyce tamtejszych misyjonarzy, którą porównywa do taktyki, do jakiéj się dawniej Jezuici w Paraguay brali. Wychowanie dzieci jest piérwszém ich zajęciem. Missyjonarz Nil, wyznał przed Lessonem otwarcie: Piérwsza myśl naszéj misyi jest zwrócona na dzieci, przez nichto dowiadujemy się o wszystkiém, co się dzieje w domu i o czém mówią, wiek bowiem dziecięcy nie umié nic zamilczeć; tym sposobem chronimy się od zasadzek wyspiarzy. Jedném słowem dzieci są niewiedząc same o tém, naszemi najgorliwszémi obrońcami i chwałą nas najgłośniéj. Od dzieci przychodzi koléj na matki. One dowiadują się, jaką głoszą im nauczyciele wiarę, a ich tkliwe serca przyjmują łatwo naszą naukę.

Podróż wokoło świata w rzadkim zamiarze. Brat sławnego astronoma i fizyka Arago, odbył niedawno podróż w około świata. Sądził on, że Hotentotów, Patagończyków i wszystkie plemiona Oceanii, Afryki i Ameryki nie pozna lepiej innym sposobem, jak gdy z nimi wspólnie jadać będzie. Jakoż tak sobie postępował: jadł psy morskie, wieloryby, gady, mrówki, pieczeń z lwa i hyeny, a z tego, czém się jako naród żywił, wyciągnął różną ich charakterystykę. Pomiędzy innemi opowiada co następuje: Ancykańczyk, który pragnie swemu królowi lub królewiczowi dać dowody swego przywiązania, tuczy się, każe się zabić, ugotować, przyrządzić i królowi przesłać. Król mówi potém z uprzejmą grzecznością do syna lub krewnego: »Zjadłem wczoraj twego ojca, był on bardzo delikatny i smaczny.« Rodzina spożytego ma to sobie za wysokie szczęście i wyszczególnienie, chełpi się i nadyma tak wielkim zaszczytem, podobnie jak u nas, gdy król nada order lub szlachectwo.«

Obłąkani w Oryjencie. Francuzki lékarz Moreau, który zwidzał niedawno Smyrnę, Kairo i

Konstantynopol, opisuje domy obłąkanych, które się tylko w tych trzech miastach znajdują na całym Oryjencie. W Konstantynopolu jest kilka takich domów, przeznaczonych dla mieszkańców różnych narodów. Najznaczniejszym jest zakład wzniesiony przed trzech set laty, przez sułtana Mahmuda. Koszta pokrywa skarb sułtana, a lekarz przyboczny cesarza kieruje całym zakładem. Wszyscy chorzy na umyśle bez różnicy stanu i majątku bywają tam przyjęci. Architektoniczne urządzenie całego budynku jest bardzo pojedyncze i odpowiadające celowi. Trzy galeryje jednakiéj długości, opasują przestronne gęsto platanami zasadzone podwórze. Cały gmach z swémi okrągłémi kopułami, smukłémi słupy, szerokiémi arkady i wodoskokami, ma zupełnie wschodni charakter. Żałować należy, że wewnętrzne urządzenie nie odpowiada zajmującej powierzchowności. Cele w tym domu są takie, jakby w menażeryi dla źwierząt. W każdej celi mieści się cztérech obłąkanych, jeden przy drugim uwiązanych na sześć stóp długim łańcuchem, którego jeden koniec zapuszczony w podłogę, a drugi przymocowany do ciężkiéj żelaznéj obroży, którą każden z tych nieszczęśliwych na szyi dźwiga. Jeźli który nie odzyska napowrót zmysłów, zostaje na téj uwięzi aż do końca dni swoich.—Ludy wschodnie mają obłąkanych w wielkiéj czci, jeźli jest spokojny, nie szkodliwy, uważają w nim polubieńca proroka. Jeźli zaś cierpi dzikie przystępy, mają go za opętanego od złego ducha. Zwykle też znajdziesz w domach waryjatów na Wschodzie takich tylko, którzy swojém szaleństwem są niebezpieczni towarzystwu. W wielu większych miastach na Wschodzie, jak u. p. w Aleksandryi liczącej 80,000 mieszkańca, niémasz żadnego domu waryjatów, co potwierdza owo zdanie, że na Wschodzie mniéj jest obłąkanych niż w Europie. Przyczyną tego zjawiska, jest zapewne po części klimat, po części temperament i sposób życia wschodnich narodów. Obłąkanie niczém nie jest jak tylko nadwerężeniem i sparalizowaniem oddziaływań mózgu, im częstsze więc przyczyny, sprowadzające to sparalizowanie, tém częściéj bywa ta choroba. W Europie są one częstsze niż na Wschodzie i u innych na pół oświeconych narodów. Wielu lékarzy, którzy zwidzali Abisynija, Senear i inne kraje Oryjentu zapewnia, że głupowaty należy tam do rzadkich zjawisk, a Aleksander Humboldt zrobił to postrzeżenie, że u dzikich narodów nie masz obłąkanego na umyśle człowieka. Między muzułmaninami byłaby ta choroba jeszcze rzadszą, gdyby ci nie używali aż do zbytku odurzającego napoju znanego szczególniéj u Egipcyjan i Arabów pod nazwiskiem: *Hatschich*. Również gorący wiatr południowo - zachodni, zwany u Egipcyjan: *Kamsia*, ma działać szkodliwie na nerwy mózgowe.

Konie z środkowéj Arabii. Wszystkim koniom z Oryjentu, mianowicie z Syryi, Egiptu i prowincyi Nejdi, dają zwykle ogólne miano koni arabskich. Nejd jestto środkowa Arabija, ojczyzna rumaków najszlachetniejszego zawodu, celujących nad inne, równie siłą, chyżym nieutrudzonym biegiem, jak ogniem i roztropnością. Konie z Nejdi są po największéj części jasno lub ciemno-szpakowate, jasno-brunatne i kasztanowate, kare należą do rzadkich. Muskulatura u tych koni jest nader wydatna; arabski rumak nosi się bardzo okazale, zadziera łeb do góry, ogniem pryska z oczu, szczególniéj, gdy się czuje na wolném powietrzu. Łeb chudy ma kształt przewróconéj piramidy. Uszy bardzo małe, oczy duże, nozdrza szérokie i w górę wzdarte. Spodnia część łba jest tak szczupła, że ją dłonią objąć można. Szyja zwykle prosta, grzywa długa i cienko-włosista, krzyże nader krótkie, kopyta małe, nogi cienkie i chude, stawy w kolenie silne i żylaste. Grzbiet razem z krzyżami idąc aż po korzeń ogona tworzy jedną prostą liniję. Konie z Nejdi dosięgają wieku 50 lat, w 25tym roku są jeszcze młode i ogniste, wzrost ich jest zwykle średniéj wielkości. W Turcyi nie znajdziesz tak pięknych arabskich koni jak w ich ojczyźnie, chociażby z arabskiej najczystszéj krwi pochodziły, gdyż Turcy idąc za jakimś przesądem niedorzecznym, dają źrebięciu aż do trzech lat bardzo mało pożywienia, krępują pęciny sznurami, przezco się tamuje wzrost i rozwijanie konia. Błędne jest to zdanie, jakby tylko w ciepłym klimacie chowały się konie arabskie. Doświadczenie bowiem uczy, że nietylko we Włoszech i we Francyi, ale nawet w Niemczech i w Rossyi sprzyja klimat dla chowu koni téj rasy. — Te siedm arabskich koni, podarek Mehmeda Alego królowi Filipowi przybyły do Paryża w połowie zimy, a zakupione przez księcia Puckler - Muskau na Oryjencie konie, chowają się w Luzacyi, a przecież jedne jak i drugie są całkiem zdrowe. Piérwsze po ogierach prawdziwej rasy Nejdi są nader piękne, szczególniéj Hamdani-Blanc, który uchodził za najdzielniejszego z téj rasy, i Durzi, którego Ibrahim Basza w bitwie pod Nizybem dosiadał. Egipscy stajenni dozorcy zapewniają, że koń ten ubiegł mil 40 bez wypoczynku, i że, gdy się w ręce Turków dostał, Ibrahim Basza odkupił go za 1,200 wielbłądów (?) Konie egipskie są w stajni bardzo spokojne i łaskawe, ale skoro na wolném powietrzu uzdę poczują, rwą się dziko, że trudno je utrzymać. Zręczny wszelako jeździec umiejący konia zażyć, kieruje niémi wedle woli, ma ich na każde poruszenie. Oczy koni arabskich błyszczą ogniem, nozdrza széroko otwarte, ogon w górę odsadzony powiewa nakształt pióropusza. W galopie zdaje się, że się nie tykają ziemi, stępo, zbierają nogami jak najregularniej, w kłusie wydatniejé każden muszkuł z pod cienkiéj nieledwo aksamitnéj skóry, i cały skład członkowania wybija się na wierzch. — Kosztowny podarek egipskiego baszy posłuży do wzniesienia chowu koni, krol bowiem francuzki rozkazał założyć w Saint-Cloud stadninę zwaną arabską, do któréj oprócz tych siedmiu koni poskupywano klacze i ogiery z Egiptu, Algiérn i Anglii. Ta rasa arabska *vollblut*, ma być zachowana jako nieskażona i czysta; tym celem zastósowano się w hodowaniu tych koni całkiem do zwyczajów arabskich. I tak mléko, polewkę mięsna, i samo mięso dają tym koniom za strawę. Zrebięta pięcio lub sześcio - miesięczne hodują mlékiem, gotowaném cienko tartém mięsem, *bouillonem*, mąką, sucharami, rożenkami i trawa, dopóki nie dorosną.

Taniec śmiertelny. U Japończyków jest okropna kara na zbrodniarzy. Skazany wdziéwa koszulę z sitowia, którą na nim zapalają. Karę tę nazywają tańcem śmiertelnym, dla tego, że nieszczęśliwa ofiara skacze z boleści i rzuca się na wszystkie strony, nim się w tém okropném *autodafe* na popiół nie spali.

Cud natury. W *Journal de la Somme* czytamy: U pewnego gospodarza w Amiens przy ulicy Trois-Saufferons, karmi kotka troje młodych szczurząt i jedno młode kocię, i tak mocno do tych przybranych dziatek jest przywiązana, że gdy jéj dla żartu na inne miejsce tych polubieńców przeniosą, ona je znowu po macierzyńsku do gniazda jedno po drugiem zbiera.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.